

Tomasz Malowaniec
UKSW, Warszawa

Dialog Polaków i Huculów w *Na wysokiej połoninie (Zwada)* Stanisława Vincenza

Jest niewiele słów, które tak, jak „dialog” idealnie pasują do osoby i twórczości Stanisława Vincenza (1888-1971). Wszystko, czego dokonał w swoim bogatym życiu, było zawsze podporządkowane imperatywowi wielopłaszczyznowego i wielowymiarowego dialogu. Nie przypadkiem dwutomowy zbiór jego esejów i pism krytycznych Czesław Miłosz zatytułował *Po stronie dialogu* (1983). Vincenz przyszedł na świat na obszarze szczególnie ciekawej wielokulturowości. Galicja południowoschodnia, tereny za Stanisławowem i Kołomyją, pogranicze z Bukowiną rumuńską i Węgrami to przecież przebogaty tygiel narodowościowy. Żyli tu obok siebie Austriacy, Niemcy, Polacy, Żydzi (chasydzy), Ormianie, Rumuni, Cyganie, Słowacy, Węgrzy no i oczywiście rodowici, rdzenni panowie tych ziem pod Czarnohorą – górale huculscy, wśród których „Homer huculskiej Atlantydy” wzrastał i których umiłował na całe życie, czemu dał wyraz w licznych publikacjach, ale przede wszystkim na stronach niepowtarzalnej *Na wysokiej połoninie*. Jej pierwszy tom ukazał się w 1936 roku i to „Wiadomości Literackie” pierwsze nazwały *Prawdę starowieku* właśnie huculską epopeją, która rozrosła się w następnych dziesięcioleciach do fenomenalnej tetralogii. Tak różne kultury i tak różnorodni ludzie są nie tylko zmuszeni, ale i zobowiązani do budowania i tworzenia różnych form dialogu – rozmawiają więc ze sobą i między sobą, kierując się nadrzędnym celem – zgodą. Ale czasem dialog zostaje przerwany i pojawia się zwada...

II część tetralogii Stanisława Vincenza *Zwada*, opublikowana w Londynie w 1970 roku, dostarcza bardzo wielu ciekawych sytuacji dialogowych, charakterystycznych dla tego wyjątkowego autora i myśliciela. Dialog musi być zawsze czymś zainicjowany, sprowokowany jakimś zdarzeniem lub jakąś potrzebą. Oto główny bohater, gazda nad gazdami, Foka Szumej, syn Maksyma, postanawia zorganizować na Huculszczyźnie pierwszy butyn – czyli planową wycinkę drzew w celu uzyskania korzyści materialnych. Bo jak przyjdzie „tuhy rok”, to bieda i głód do chałup zagładają. Wówczas górale zadłużają się u Żydów. Do tej pory Huculi zajmowali się hodowlą bydła i trzody, owiec i koni, myślistwem, uprawą ziemi, rybołówstwem i od czasu do czasu sporadycznym wyrębem drzew na własne potrzeby. Foka również „wyrąbywał i wypalał ojcowski las dla rozszerzenia połoniny” (aby mieć *carynki* – łąki do wypasu bydła, przyp. TM) „...od lat najmłodszych znał leśną robotę. Każdy pobyt w połoninie był dlań połączony z wyrąbywaniem przesieków, z wypalaniem pastwisk i łąk. Już jako wyrostek widział w lasach pańskich pierwsze butyny” (Vincenz 1981: 17). Ale co innego ciąć pański las i brać za to pieniądze, a co innego wycinać drzewa z ojcowizny... To niebagatelna decyzja, „Foka porwał się: utworzyć na Riabyńcu wielki wyrąb, swój własny butyn, z własnymi ryzami, własnymi wodosporami, z własnymi

się, żeś śmierć leśna? Hi-hi-hi-hi"! Widzisz teraz, co to śmierć leśna?" Nasypała mi strachu Bida, ażem stężał, ale nie zmogła mnie. No i niby to po dobremu chciała mnie złapać. Z daleka potem tak słodziutko zawodzi, kołysze mnie Bida: „Luli-luli – spać dziecino, spać –” (Vincenz 1981: 44). Ale Andrijko, będący w nie lada opałach, rozmawia nie tylko z zamiecią, ale także z przypadkowo napotkanym ptakiem, kanią: „A cóż zrobić, ptacho boża?” – pytam. – „Ocknij się, do kupy się bierz, gałęzi nazbieraj co suchszych, watrę zrób tam całkiem w jamie. Przesiedzimy przez noc”.

W końcu bohaterowie *Zwady* zawiązali spółkę butynową, w której drugim filarem, obok Rusina Foki, został Polak – młody kiermanycz, Piotruś Sawicki, syn poważanego kowala. Rodzina Sawickich w huculskiej Atlantydzie Vincenza zajmuje miejsce szczególne. Jest bowiem ona ostoją tradycji, ale i symbolem postępu, i w zasadniczy sposób wpływa na zmiany mentalności góralskiej. Otóż kowal „był pierwszym dumnym pionierem cudownego żelaza w kraju drzewa” oraz raz w tygodniu tylko w jego domu „pieczono na kwasie żytni chleb, mało znany w kraju mamatygi” (Vincenz 1981: 57). Oczywiście, na początku Huculi odnoszą się do starego Sawickiego z pewną rezerwą, bo „choć biedny, przecie swobodny i honorny jak to Polak. Wiadomo, Polak, niekoniecznie miły, czasami pyszny, ba, i pyszałek, ale co Polak, to pan, pęknie z głodu, a nie skrzywi się”. Mimo to Polacy są traktowani jako przedstawiciele wyższej cywilizacji. Do tego jeszcze pan kowal nie był zwykłym kowalem, o jakich słyszało się w świecie, bo był kowalem, który mówił płynną łaciną i uczył jej swojego syna. Ale żeby na dobre być zaakceptowanym i przyjętym do społeczności huculskiej, swoje decydujące zdanie musiał wypowiedzieć przywoływany już „mędrzec górski” Tanaseńko Urszega, który osobiście wybrał się do kuźni, by zobaczyć na własne oczy, co tam się wyprawia. Pamiętać należy, że cała sytuacja, opisywana przez Vincenza, rozgrywa się przed wybuchem Powstania Styczniowego i wówczas na całej Huculszczynie wyroby kowalskie i rzemiosło kowalskie nie były powszechne.

Jak słusznie zauważa niezrównany badacz kultury huculskiej Włodzimierz Szuchiewicz, mosiądz był w powszechnym użyciu – „w każdym zakątku Huculszczyny musi być przynajmniej jeden Hucul, który zajmuje się wyrabianiem mosiężnych łańcuszków, toporków, guzików, krzyży, sprzączek, igielników itp.” (Szuchiewicz 1902: 325). Tanaseńko zapytał wprost czy żelazo pochodzi od Boga czy od czorta? Sawicki odpowiada rezolutnie: „Jeśli dla czegoś dobrego żelazo, to od Boga, a jeśli dla złego – ha – któż wie?” (Vincenz 1981: 58). Rozmowa Polaka z Rusinem przed kuźnią (trzeba wykuć porozumienie?) należy do jednej z najpiękniejszych scen w tetralogii Vincenza i kończy się następującymi słowami: „Tanaseńko pytał już z konia na odjeździe: - No to co takiego potrzebne, aby żelazo było dla dobrego? – Sumienie i ręka – odparł kowal. Tanasij zapamiętał” (Vincenz 1981: 59). Stary Sawicki pod wieloma względami przypomina Huculów – jest surowy, kultuwyje rodzinne godło „Na zawołanie” oraz maksymę o tym, że zbrodnią główną jest okaleczenie konia. A przecież konie są dla górali obiektem największego uwielbienia. Szuchiewicz pisał: „Huculi zamiłowani są w koniach, nawet najbiedniejszy chciałby mieć własnego konia, a to po prostu z potrzeby, bo taki koń jest dla tych, co żyją daleko od miasta, cerkwi, młyna, drogi, jedynym środkiem do koczownictwa po spadzistych, kamienistych, często korytem potoków prowadzących drogach. Przed 30-tu laty byli w Huculszczynie jeszcze majętni Huculi, hohatyri, którzy mieli i po 30 pięknych koni; dziś mało takich,

którzy by ich mieli 2-4” (s. 325). Ponadto kowal zawsze przychodził z pomocą podróżnym – oświetlał pochodniami drogę i służył gościnną w domostwie, odludnym, ale przyjaznym. Osiadł wśród Huculów nad Waratynem, by zapomnieć o burzliwej przeszłości w zaborze rosyjskim, gdzie brał udział w powstaniach i utracił fortunę. Stał się zubożałym tułaczem. Ale gdy już znalazł swoją „ziemię obiecaną”, poświęcił się pracy i czytaniu Biblii, szczególnie zaś księgi Hioba. W jakiś sposób utożsamiał się z nim.

Piotr Sawicki był ostatnim, późnym dzieckiem kowala. Wcześniejsze dzieci poumierały. Cała uwaga i troska rodziców skupiła się na nim. Edukację domową na pewien czas przerwał nagły wyjazd kowala – był początek 1863 roku. Po ośmiu miesiącach kowal powrócił szczęśliwie, ale milczał i nie opowiadał o swoich ostatnich doświadczeniach. Zmarł w kuźni. Jakże piękną mowę pogrzebową wygłasza ksiądz Pasjonowicz, proboszcz Jasienowa. Słyszymy tu dalekie echo z pochówku Michała Wołodyjowskiego w ostatniej części *Trylogii* Henryka Sienkiewicza. Wydaje się, że Vincenz celowo stylizuje mowę Pasjonowicza: „ – Na zawołanie – wołał ksiądz – takie jest hasło rodziny Sawickich z pierwowieku. Pan Bóg zawołał i zaraz pan kowal rzucił wszystko. Panie Sawicki, zapukaj śmiało do nieba! Tam ciebie czekają, tam cię zaraz puszczą. Panie Sawicki, pomódl się za tutejszych grzeszników! Ostro! Gorąco! Najmniejsza niesprawiedliwość nigdy nie najdzie na sprawiedliwego. Zapamiętajcie to sobie, ludzie, to nam zostawił pan kowal. Bogaty nie był, ale spadek po nim wielki. Bo czyż wy myślicie sobie, że świat bez końca będzie się kręcić, gdy nie stanie sprawiedliwych?! Nie! Koło bez smaru trzaśnie, pana Sawickiego nie stało i koniec świata bliski, tuż, tuż.” (Vincenz 1981: 78). Apoteoza walecznego i prawego Polaka miesza się z reprimendą dla Rusinów.

Piotr zdaje sobie sprawę, że spoczywa na nim trudne dziedzictwo i że, aby przetrwać w nowych okolicznościach, musi poddać się przynajmniej częściowej asymilacji w środowisku huculskim. Z matką nadal rozmawia po polsku, ale od czasu przystąpienia do spółki z Foką, zaczyna się inaczej ubierać – już nie jest synem kowalskim i szlacheckim oraz kiermanyczem (spławiał drewno). Matka „popłakała się, uszyli w końcu z sukna strój huculski i Piotruś przebrał się, nie aby coś udawać, lecz aby przetrwać” (Vincenz 1981: 79). Ale i tak górale mówili do niego „paniczu”, a między sobą nazywali go „rysielem”. Piotr i Foka są w zasadzie rówieśnikami (8 lat różnicy wieku) przedstawionymi przez Vincenza na zasadzie kontrastu, który oczywiście służy głębszemu przesłaniu. „Foka krzepki i barczysty, Piotruś strzelisty, prawie chudy. Jeden czarny, drugi jasny, prawie biały. Rusin i Polak. Prawnuk gazdów pępkowych przez poloniny wzniesionych ponad wszelką politykę, i panicz, zbiedniały do granic egzystencji, ofiara polityki ostatniego pół wieku. Jeden – watra ochocza, dla której wszędzie jest paliwo, drugi źródło ukryte w szczelinach, co przecie z głębi się toczy. Świt, taki jak tryska czasem nad Jasienowem znad Pisanego Kamienia, i zmierzch, rozświetlony jakimś zbląkanym światłem, taki jaki bywa czasem po zachodzie słońca tam, gdzie się łączy Waratyn z Czeremoszem” (Vincenz 1981: 80). Pomimo tak wielkich różnic „dobrze im było razem”. I tu dochodzimy do istoty „dialogowości” Vincenza. Bez względu na to, skąd przychodzimy, jaka tradycja rodzinna i narodowa nas ukształtowała, najważniejsze jest to, dokąd zmierzamy i czy tę wędrówkę w przyszłość chcemy odbyć wspólnie? Piotr i Foka to przedstawiciele – literacko-artystyczni – co prawda, ale przedstawiciele trudnego dialogu polsko-ukraińskiego i w

ogóle między różnymi narodami, które muszą się porozumieć, jeśli nie chcą się zatracić w uprzedzeniach i stereotypowych sądach o sobie nawzajem.

Tymczasem zaczęła się uporczywa praca i wyręb sprzętem kupionym „za ostatnie guldeny” i zaliczkę od potencjalnych, zagranicznych kupców przedniego drzewa. W interesach pośredniczył i poręczał za strony ksiądz Buraczyński, ale w rozmowach z kupcami, dyrektorami trustu, uczestniczy jednak tylko Foka, który zna język niemiecki (służył bowiem w armii austriackiej w okolicach Wenecji). Piotr w tym czasie koordynuje prace leśne z pozostałymi Huculami i buduje ryży. W czasie pertraktacji handlowych dochodzi do ciekawego dla naszych rozważań epizodu. Oto jeden z dyrektorów spółek drzewnych bierze ks. Buraczyńskiego za Polaka, gdyż rozmawia z Foką po polsku. Ksiądz zachnął się: „– *Rusinem, my tu wszyscy Rusini, i obrządek nasz ruski. A może nawet pan dyrektor nawet nie słyszał o takich? Dyrektor pominął pytanie, pytał sam: – Ależ państwo mówicie z sobą po polsku. / – Dlaczegoż by nie, to bardzo ładnie./ – To którzyż tu Polacy? – pytał dalej dyrektor. Ksiądz zamyślił się odrobinę, jakby obliczał: – Pan dziedzic – no i tam na butynie – Sawicki, ten Piotruś./ – I tyle? To dlaczegoż o Galicji mówi się, nawet pisze się: „Polen, Polen.” Ksiądz uśmiechnął się: – Może ci wystarczą – jak dla kogo” (s. 133).*

Ciekawe jest to, że dla ks. Buraczyńskiego, Foki i wielu innych język codziennej komunikacji nie jest przeszkodą w budowaniu dialogu – jest jedynie środkiem i nie świadczy o rzeczywistej, wartościującej przynależności do grupy etnicznej i kulturowej. O wiele ważniejsze jest wewnętrzne poczucie (przekonanie) oraz praktykowana na co dzień wiara. Wynika to zapewne z charakteru ziem, na których egzystują Huculi – a więc na przecięciu szlaków komunikacyjnych i historycznych krain, zamieszkałych przez wiele narodów. Zupełnie inny stosunek do roli języka zaobserwować można w tym czasie w zaborach rosyjskim i pruskim.

Na butynie różnice kulturowe dają o sobie znać w stylu pracy. Foka rozpala „*w rębaczach pośpiech, gorączkę do szaleństwa. Śpieszyli się wszyscy, tylko Sawicki, panicz-Ryś, tak chyży gdy zechciał, opóźniał robotę (...) bo „prędzej, prędzej” to marne partactwo, aby dostarczyć łap-cap, dla pieniędzy tylko*” (s. 145). W końcu przynaglany przez huculskich drwali Sawicki powiedział wprost: „*Robota ma iść po Bożemu i po ludzku, a nie pośród zabobonów ani z pośpiechem diabelskim*” (s. 147). Zakres robót jest coraz większy, więc Foka zaprasza dodatkowych drwali z Żabiego, głównej wsi Huculszczyzny. Wśród nich pojawia się kolejny Polak, Jasio Tomaszewski, który w koncepcji Vincenza jest nie tylko uzupełnieniem i wzmocnieniem portretu etnicznego, ale też interesującą antytezą Sawickiego. Co prawda cały rozdział *Stare tło* autor poświęcił na opisanie historii wsi Żabie, która wpisała się na stałe w dzieje metropolii arcybiskupa Andrzeja Szeptyckiego, jak i działalności hrabiego Stanisława Skarbka, jednak można wyczuć pewną rezerwę do jej mieszkańców. Najlepiej ujmują to słowa: „*...od kiedy żabiowcy nauczyli się pisać, piszą Hospod-Boh przez małe h, a „horiwka” przez duże H*” (s. 164).

Między drwalami Foki i żabiowcami iskrzyło od samego początku – doszły do głosu kompleksy i antagonizmy między dużą a małą wsią, kiedy mieszkańcy tej pierwszej czują się lepsi od drugich, za to ci drudzy uważają się za lepszych robotników. Tomaszewski dość szybko znalazł swoje miejsce przy Sawickim, gdyż „*...do roboty był chętny nawet zapalony a pojętny, ze spokojem i powściągliwie władał każdym ruchem, wyprzedzał innych*” (s. 172). Codziennie witał swojego pryncypała po

polsku „Dzień dobry panu”. I żegnał na noc: „Dobranoc panu”. Nie zdradzał się poza tym, czy umie więcej po polsku, ale dawał to do zrozumienia” (s. 173). W końcu między Polakami doszło do szczerzej rozmowy, podczas której Tomaszewski nazwał Huculów leniuchami, którym nie można wierzyć „jak psom”, uważał ponadto „że Polak, nie chłop jakiś, głowa, umie robić”. Wtedy zirytowany Sawicki odpowiedział mu: „ – Mój ojciec, stary Polak, pouczał, że Polaka po tym poznać, iż nigdy nie mówi źle o przyjaciółach. Honor” (s. 174). Tomaszewski nie znajdując poklasku powrócił do swoich żabiowców, mieszkających w osobnej kolibie, i brylował wśród nich jako zawołany robotnik, dodatkowo cieszący się niebywałą popularnością wśród huculskich dziewcząt. W grupie żabiowców jest jeszcze jeden Polak, Kraszewski, który ujawnia swój charakter podczas rewaszu¹, czyli sporządzania rachunków, będących podstawą do wypłat dla poszczególnych robotników. Przyznaje się on publicznie do swojego szlachectwa, ale i do biedy, która męczy jego rodzinę i jest przyczyną zgrzytot.

Sawicki, pamiętając rodzinne tradycje, w czasie niespiesznej pracy robi przerwy i śpiewa pieśni religijne Franciszka Karpińskiego, którego Vincenz nazywa „poetą kołomyjskim”: „Butynary odkryli głowy, nikt nie znał pieśni, nikt jej dotąd nie słyszał, lecz wtórowali ochoczo, powtarzali słowa, jak słyszeli i jak umieli: „Tobi spiwa żywit wsiekij” (s. 236). Jak widać nawet nieznaną wśród Huculów pieśń staje się elementem dialogu, prowadzącego do zgody podczas ciężkiej pracy. Ważne, aby myśli kierować w jedną, pożądaną przez wszystkich stronę. Sawicki umie nie tylko śpiewać polskie i huculskie pieśni, umie także grać na cymbałach, które są drugim obok trembity najważniejszym instrumentem spod Czarnohory. Huculi odwdzięczają mu się ułożoną na jego cześć piosenką, która kończy się słowami: „ W sławie popłynie – nasz panicz-rys/ W sławie zostanie – nasz panicz-rys” (s. 265).

Przed budowaniem darab (tratw) i w związku z nadejściem wiosny z roztopami butynary urządzili szczególny chram leśny (przyjęcie i odpust) dla rodzin, przyjaciół i znajomych wszystkich pracujących z Szumejem i Sawickim. Czytamy: „Gospodarze butynu witali gości za porządkiem, każdego bez wyjątku. Foka godnie i serdecznie choć w niewielu słowach, Sawicki sztywnie i bez słów...” (s. 300). Honorowym gościem był sam wójt Żabiego, który kurtuazyjnie, ale i prowokacyjnie zapytał Tomaszewskiego, czy mu nie jest smutno na butynie. Jasio stwierdził, że jest weselej, jak we wsi, i nie myśli się o kobietach, gdyż „co nocy przychodzą do butynarów najprzedniejsze dziewczuszki, czyli...białe chmurki”. Widzimy przemianę Jasia z Żabiego, który przestaje być birbantem bałamucącym dziewczuchy w swojej wsi, a staje się pionierem czegoś nowego. Mówi z dumą: „...tu nieprzebyty, pierwowieczny świat, każdy krok my sami wyrąbaliśmy” (s. 303). Chleby żytnie na przyjęcie wypiekła dla wszystkich sama pani Sawicka, a główną mowę wygłosił wójt – cokolwiek przypominający starego Macieja Borynę z *Chłopów*, gdy przemawiał do swoich ludzi przed bitwą o las. A wójt Żabiego powiedział: „Od początku świat na tym stoi, Kainy poszli na psy i jeszcze pójdą, a od Hioba cierpliwego, od Salomona mądrego słońce bije. Pan kowal Sawicki z Jasienowa od dawna niejednego o tym pouczył. Komuż wierzyć jak nie jemu? A wszystko inne puste mielenie, sama plewa. Nie dajcie się złapać nikomu na plewę, ani panom, ani

¹ Jacek Łukasiewicz (2003) wyjaśnia, że: „Rewasz to karbowana deseczka lub kij z zapisanymi wzajemnymi zobowiązaniami. Deseczka-umowa. Rewasze-zobowiązania dziedziczy się. Tworzą one historię, która staje się szeregiem zobowiązań. Godne i uczciwe życie polega na ich wypełnianiu. Rewasz opanowuje dzieje, czyni je moralnymi” (s. 256).

atamanom, ani urzędom, ani księżom. Bo który z nich ziarnisty, który najlepszy, ten z nami jedna ręka. (...) Słowo fałszywe spadnie błotem na głowę temu co bresze. A słowo wierne prosto do nieba leci ptaszyną wiosenną. Toż mówię wam także, że książki co najmądrzejsze właśnie ziarno sięją takie, abyśmy wierzyli jeden drugiemu. Mędrzec potrafi, co innemu się przyśni, Hiob czy Salomon wierzy Bogu i ludziom, dużo nie mówi, świdruje okiem, zaświeci na ludzi i już oni u niego w kieszeni. Przypomnijcie sobie pana kowala z Jasienowa” (s. 352).

Przywołanie osoby starego Sawickiego jest tu znaczące, bo stawia go obok możliwych tego świata, niejako afirmując jego szlachetne i prawe życie. Dzieje się to na butynie, w kolebce nowych działań ekonomicznych na niespotykaną dotąd skalę – gdzie wyrabano kilka tysięcy drzew, wiekowych drzew. Ale wzrósł także autorytet Foki jako gazdy – „gazdę poznać po tym, że nikomu nic nie zawdzięcza, i stąd od dawna za wielkiego gazdę uważa się takiego, któremu wszyscy coś zawdzięczają” (s. 375). Młodego Sawickiego uważano z kolei za założyciela butynu, ale nie mógł być gazdą, bo nie miał ani ziemi ani lasu. W czasie zabawy ujawniają się jednak skrywane wcześniej antagonizmy oparte na niesprawdzonych plotkach i posądzeniach. Oto Polacy Tomaszewski i Kraszewski uważają, że dwóch Huculów, Iwanysko Cwyrniuk i Kuźma, przemienia się w wilkołaki, bo dziwnie się zachowują, milczą i na wiele godzin znikają w leśnych ostępach i sowy za nimi latają. Posądzenie takie powoduje napięcie i rozłam wśród butyniarów. Mediować próbuje kierujący się rozsądkiem Foka, który posądzonych o nieczyste kontakty z duchami, zjawami i niewkami² leśnymi tłumaczy jak potrafi. Zwraca uwagę na ich trudną sytuację życiową (jeden z Huculów został zdradzony i porzucony przez żonę). Foka nie przyjmuje argumentów irracjonalnych, wynikających z głębokiej wiary w wspólne zabobony.

Przed spuszczeniem tratw do Czerniowców i Gałaczu nad Dunajem, delegacja Huculów oraz Polaków z Sawickim i Tomaszewskim udała się do Tanaseńka Urszegi z prośbą o to, aby honorowo nadzorował rozliczenie prac i swoją obecnością wraz z sędziwym księdzem Buraczyńskim „pobłogosławił” zakończenie butynu i spław. Ten stanowczo odmawia i dziwi się obecnością Piotrusia Sawickiego: „...panicz Sawicki, pana kowala synek także do rabunku przystał? Oj, co by na to pan Kowal powiedział. „Sumienie i ręka, idź ręką za sumieniem”. Tak nas pouczał nieboszczyk. To był człowiek!” (Vincenz 1981: 409). Misja nie powiodła się – stary Tanasij nie słuchał żadnych opinii i próśb. Młodzi Huculi i Polacy nie rozumieją uporu starszyny – „baszta spróchniała dusi młody las” (s. 416). Dochodzi do kłótni o uznanie racji Tanaseńka (uważał on, że „potrzaskany las” zemści się na ludziach powodziami). Tomaszewski obraża Fokę i w kolibie drwale, starzy i młodzi, chwytają za topory, ale gniew jak szybko się pojawił, tak szybko znika. Starły się dwa pokolenia – racje starych, doświadczonych ludzi są ignorowane przez młodych, zapalczywych, którzy są

² O Niawkach lub Mawkach pisze W. Szuchiewicz: „To diabolicznie; z przodu mają wygląd kobiety, a od tyłu widać wnętrzości, nadto mają one nogi małe, jak u dziecka, a głowę niestosownie dużą. Są to dusze nieochrzczonych dzieci; błąkają się one przed Zielonymi Świątkami po polach i nad wodami (...). Zwabionego do siebie człowieka ssysają mawki, toteż nie wolno w noc przed św. Janem spać na dworze, bo mawki zwabiwszy człowieka śpiewami, uciekają z nim w lasy, gdzie uczepia się go czart, a wtedy człowiek już nie powraca pomiędzy ludzi, nie myje się, nie modli się, a gdy umrze, zabiera czart jego duszę”. (Szuchiewicz 1908: 281).

żądni sukcesów i szybkich zysków i nie zastanawiają się nad konsekwencjami różnych swoich działań.

Pomimo że Huculi obawiają się splywu i żywiołu rzek (spławianie to sprawa panów i Żydów – jak mówią), cała historia z butynem i dostarczeniem drewna do dyrektorów trustu w Gałaczu kończy się szczęśliwie. Sam chief trustu przyjmuje butynarów na specjalnej audiencji, czyta fragmenty Księgi Psalmów i bacznie obserwuje reakcje swoich gości. Jest zdziwiony faktem, że górale proszą o przesłanie pieniędzy na ręce ks. Buraczyńskiego, a nie do jakiegoś banku. Chief, powściągliwy i pełen rezerwy, zwraca jednak uwagę na Sawickiego, o którym powie w gronie swoich dyrektorów: *„Ciekaw jestem jedynie tego chłopca, jak gdyby szkockiego, który sam jeden wybudował ryzy. Surowy milczek... Wzywa do zobowiązań, czeka na powołanie. Zaproponujcie mu posadę w truście. Skromną, bardzo skromną na początek. Któż wie? Warto mu podać rękę, dźwignąć”* (Vincenz 1981: 546). Ale Sawicki odrzuca tę lukratywną propozycję, którą jednak skrzętnie wykorzystuje Tomaszewski. Jaś już nie powróci ze wszystkimi na połoniny. Wchłonie go wielki świat. Natomiast trust już nie będzie robił interesów z Hucułami. Chief – pragmatyczny, brytyjski przedstawiciel zachodniego kapitalizmu, który sam zaczynał od zera jako zbieracz opału – obawia się dalszych kontaktów z góralami, których odbiera jak „teatr z ciemnych wieków” i jak ludzi zacofanych i upartych, niepodatnych na postęp. Misję cywilizacyjną pozostawia Niemcom, którzy jego zdaniem, *„oświecą kontynent. Może nie takich jak ci, których dziś widzieliśmy, ale ich dzieci”* (s. 548).

Wszyscy wrócili do domostw i na ojcowizny. Wszystko wróciło do normy. Ale czy na pewno? Przecież nie możemy przejść obojętnie obok kluczowego dla tej części tetralogii Vincenza słowa – *zwada*. Cytowany już Hertz pisze o zwadzie *„między puszcza a człowiekiem, który puszcze niszczy, stara się ujarzmić dla swoich celów. Z tej zasadniczej zwady wynikają zwady dalsze – pomiędzy ludźmi. Ale te są czymś pochodnym. Sprawą istotną jest odwieczny spór człowieka z przyrodą i przyrody z człowiekiem”* (Hertz 2003: 53). Foka mówi, że „drzewo nasze jest złoto”, ale nie ma już tysięcy drzew na Riabyńcu i za chwilę nie będzie złota. Pozostanie sam człowiek na pustym wyrębie, gdzie hula wiatr. Wiekuisty las, przyrównywany do katedr, jest już tylko wspomnieniem.

Ileż tragicznego piękna zawarł Vincenz w słowach: *„Jakże by musiał wleść się człowiek, jak zamilknąć, jak wyrzec się, by tam na Riabyńcu uczestniczyć w modlitwie lasu. Las cicho hardy, sam na sam z Bogiem, bez troski o świat, bez wiedzy o świecie. Nic zeń dla świata, nawet śmiała baśń górską go ominęła. Przeciw takiej potędze dla niemocy człowieczej jedyny wybór: ucieczka albo zniszczenie. Las wobec siekiery bezbronny. Zadumaj się, człowiecze, nad potęgą lasu wraz z bożą-krówką, co brzęczy niewinnie na skraju lasu. I nad jego końcem wraz z pokoleniami korników, co piłują nosami zhardziałymi w haki i toczą drzewo, jak choroba piekielna, siecią chodników, aż podminują je i zginą do szczytu wraz z lasem”* (s. 90).

Chief trustu nazwał Fokę „księciem bizantyjskim”, ale czyż mu nie bliżej do kornika? Gdy dziś tak wiele mówimy o znaczeniu ekologii, o ochronie ekosystemów, to stary Tanaseńko w wizji literackiej Vincenza jawi się jako prekursor tego sposobu myślenia, szczególnie, gdy w rozpaczę mówi: *„...żał mi tylko ziemi obłupionej ze skóry, podeptanej. Postuchajcie jak stęka po nocach, jak banuje. Taki las... bez lasu nie ma świata. Tych dziatka także mi żal, co będą się topić, głodować, zdychać. I chudoby*

także” (s. 410). Foka Szumej i Piotr Sawicki, Hucul (Rusin) i Polak, zrobili swoje. Zawodowcy. Ale ich dialog, podstawa przyjaźni, miły dla ludzi, okazał się tragiczny dla natury. Zwadę z człowiekiem przegrała, ale ostateczną klęskę poniesie kto inny...

Bibliografia

- Hertz A., 2003, *Czytając Zwadę Vincenza*, [w:] „Vincenz i krytycy. Antologia tekstów“, Lublin.
Łukasiewicz J., 2003 *Powieść Vincenza – polskie konteksty*, [w:] „Vincenz i krytycy. Antologia tekstów“, Lublin.
Szuchiewicz W., 1902, *Huculszczyzna*, t.1, Lwów.
Szuchiewicz W., 1908, *Huculszczyzna*, t.4, Lwów.
Vincenz S., 1981, *Na wysokiej połoninie. Zwada*, Warszawa.

A dialog of Poles and Hutsuls in Stanisław Vincenz's *On the High Uplands* (Vol. II a: *A Scuffle*)

Summary

The article presents Polish-Ukrainian relations in the Hutsul-inhabited region (Polish: Huculszczyzna; Ukrainian: Hutsulshchyna) in the latter half of the 19th century, following the defeat of the 1863 January Uprising against Tsarist Russia. Local Poles, mostly of nobility status, and Hutsul uplanders undertake a joint effort for the industrial-scale clearing of an old forest, with financial gain in mind. But after many months of exertion, arguments arise between generations of the uplanders and tensions emerge in their relations with the Poles. The article traces the process of an insidious alienation of traditional communities, rooted in a desire for profit and getting-rich-quick. Fortunately, notwithstanding various kinds of threats, the protagonists are capable of defending values such as friendship and respect for family and community traditions. A dialogue and coexistence with nature, though, is irretrievably lost. Both the author of the Hutsul tetralogy, Stanisław Vincenz, and the writer of the present article perceive this as a major challenge for the contemporary man who – no longer in harmonious cohabitation with nature – is doomed to see the collapse of not only ancient ecosystems but of himself, too. A felled tree leaves a void and a reproach – also within the soul of the imprudent man.